

BARBARA WYSOCZAŃSKA

W tamtym domu, w otoczeniu lasów, zostawiła
swoje serce i duszę. Tam zostawiła swoją miłość.

Nigdy się nie poddam

FILIA

BARBARA
WYSOCZAŃSKA

Nigdy
się nie
poddam

FILIA

*Tę książkę dedykuję wszystkim,
którzy wciąż poszukują
i wciąż potrafią się zdziwić...
Oraz tym, którzy kochają wino.*

Od jednej kropli wina cała szklanka wody różowieje.

Viktor Hugo

ROZDZIAŁ 1

Obecnie

Kiedy z impetem wbiłam szpadel w ziemię, natknęłam się na coś twardego. W pierwszej chwili pomyślałam, że to duży kamień; postanowiłam go podkopać i wyjąć, ale szybko zdałam sobie sprawę, że to nie kamień. Moje znalezisko okazało się niewielką metalową skrzynką, na której widok serce podskoczyło mi do gardła. Nie bardzo wiedziałam, co to jest, a przecież ostatnio tyle się słyszało o niewybuchach z czasów drugiej wojny światowej. W pierwszym odruchu odsunęłam się z obawą, ale moja ciekawość zwyciężyła. Z niewielkiej odległości zaintrygowana przyglądałam się znalezisku, jakby cofnięcie się o dwa kroki mogło mnie jakkolwiek ochronić, gdyby nie daj Bóg...

Spojrzałam w stronę domu, licząc na to, że dostrzegę i przywołam któregoś z pracowników ekipy remontowej, ale wszyscy byli w środku. Postanowiłam zaryzykować; delikatnie odgarnęłam łopatą ziemię wokół blachy.

Skrzynka nie tkwiła głęboko i mimo mojej pierwotnej obawy nie przypominała niewybuchu, choć prawdą było, że na niewybuchach się nie znałam. To musiał być zwyczajny metalowy pojemnik na drobne przedmioty, jakiego używa się w domkach gospodarczych i piwnicach. Wrodzona ciekawość zwyciężyła; powoli wróciłam do odkopywania skrzynki, aż w końcu udało mi się ją wyjąć.

Nie była duża, wielkości pudełka na czekoladki, choć nieco głębsza i wykonana z porządnego metalu, bo rdza prawie jej nie tknęła. Nie widniały na niej żadne napisy ani nic, co mogłoby świadczyć o zawartości. Ale kiedy potrząsnęłam nią lekko, wyraźnie usłyszałam, że w środku coś jest. Po krótkim mocowaniu się z wiekiem skrzynki udało mi się ją otworzyć. Pisnęłam zaskoczona, kiedy na dnie ujrzałam zwinięty plik starych banknotów. Rozsupłałam rulon – niemieckie reichsmarki z czasów Trzeciej Rzeszy. Uśmiechnęłam się szeroko sama do siebie, a serce zabiło mocniej z podniecenia. Znalazłam niemiecki skarb! Może nie na miarę złotego pociągu, ale jednak! W skrzynce leżał również przerdzewiały nożyk z zaokrągloną końcówką i popękana drewniana rączką. Wzięłam go ostrożnie i przyjrzałam się rękojeści, na której widniał niewyraźny napis: Weingut Vogel. Teraz moje serce jeszcze bardziej przyspieszyło.

Zerknęłam do pudełka na pozostałe rzeczy. Cztery korki do wina, każdy inny, a jednak były do siebie podobne, z drewna i też z wytłoczonymi napisami

„Weingut Vogel”. Nie miałam wątpliwości, że to przedmioty z winnicy, którą tu niegdyś uprawiano. Może zbiór stanowił dzieło przypadku, może niósł jakąś symbolikę, ale bez wątpienia świadczył o czymś, co przed laty tu istniało.

Siedziałam na wilgotnej ziemi ze szpadlem przy boku i z ekscytacją dotykałam moich skarbów. Byłam tak podniecona znaleziskiem, że krew dudniła mi w skroniach. Jednak to, co znalazłam na samym dnie skrzynki, sprawiło, że westchnęłam z zachwytu. Zdjęłam rękawice ogrodnicze i ujęłam w palce złożony na czworo papier, bojąc się go uszkodzić. Gdy go rozprostowałam, moim oczom ukazał się wyblakły, ledwo czytelny niemiecki akt własności. Dłonie drżały mi z przejęcia, kiedy czytałam urzędowe pismo z listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku świadczące o tym, że właścicielką domu i winnicy jest Gretel Vogel. Wrażenie, które mnie ogarnęło, było tak silne, że w oczach zakręciły mi się łzy. Dowiedziałam się, kto tu mieszkał! Kto prawie dziewięćdziesiąt lat temu był właścicielem mojego domu! Na myśl, że gospodarzyła w nim kobieta, poczułam przyjemne ciepło. Wpatrywałam się oszołomiona w dokument i czułam, jak ogarnia mnie głód poznania prawdy o tym, kim była Gretel Vogel i jaki był jej dom. Chciałam – musiałam – wiedzieć wszystko.

Tymczasem na dnie skrzynki czekało na mnie coś jeszcze. Przewiązane wstążką listy, a obok drobiazg –

malutki i niepozorny, ale niezwykle cenny – delikatna i piękna w swojej prostocie złota obrączka. Nieco zaśniedziała, ale bez wątpienia szlachetna i należąca do kobiety, bo miała niewielki rozmiar.

– To pewnie twoja obrączka... Gretel Vogel – wyszeptalam, przelykajac wzruszenie.

Czy Gretel Vogel, zakopujac tę skrzynkę, tak jak ja była wdową?

Podnioslam się z klęczek i oszołomiona rozejrzałam się wokół, podziwiając ziemię, która ledwie kilka miesięcy temu stała się moją własnością.

Kiedys to miejsce musiało wyglądac inaczej. Mieszkali tu inni ludzie. Dziesiatki lat temu te rozległe urodzajne pola nadodrzańskiego zbocza, rozciągajace się aż po horyzont, porośnięte były długimi rzędami winorośli. Hektary gęsto obsadzonych zielonych alei, zachwycających bujnością pędów i liści, rodzących dorodne owoce, z których wytlaczano wino znane nie tylko w Grünbergu na Śląsku, ale i dalej, poza granicami.

Teraz ja, Alicja Fedorowicz, nowa właścicielka i gospodyni tego miejsca, oczami wyobraźni ujrzałam dawny magiczny klimat tej ziemi, mimo że tamtej niemieckiej winnicy już nie było. Tym jednak, co się tu od lat nie zmienilo – żywiłam co do tego dziwną pewnośc – była woń tego miejsca. Powietrze pachniało tu wilgocią, żywą ziemią i lasem. Pachniało dzikim polem. Było rześkie i delikatne, z rana nieco mgliste. Nawet rześiste deszcze

miały tu swój zapach. Gdy budziłam się o poranku, wyglądałam przez okno w sypialni na piętrze, by podziwiać przezroczysty welon mgły, unoszący się nad okolicą. Gdzieś tam, całkiem niedaleko, widziałam też zielone wierzchołki lasu. Było tu tak pięknie!

Nie bez powodu wybrałam to miejsce. Ta dzika, opuszczona przez dekady ziemia, której nikt nie chciał, miała pomóc mi stanąć na nogi. Wszechobecny spokój, który z dnia na dzień stał się moim towarzyszem, pomagał oswoić smutek. Przede wszystkim jednak leczyłam tu swoje strzaskane serce.

– Grunt jest wiele wart, a pani kupiła go niemal za bezcen – tłumaczył mi notariusz, kiedy parę miesięcy wcześniej podpisywałam akt własności ponemieckiej winnicy i dworku.

– Wygrałam przetarg – przypomniałam mu.

Tak naprawdę wygrana nie była żadnym spektakularnym sukcesem, bo okazało się, że prócz mnie zgłosił się tylko jeden chętny na zakup tych opuszczonych terenów, ze starym, zrujnowanym i zagrabionym do cna budynkiem. Nadto nie planował wydać więcej ponad cenę wywoławczą, która i tak wbrew temu, co sugerował notariusz, zdawała się zaporowa, bo dworek znajdował się w rejestrze zabytków.

Decyzję o przystąpieniu do przetargu podjęłam błyskawicznie, niemal na wdechu. Ogłoszenie znalazłam w internecie, na stronie zielonogórskiego urzędu miasta,

w zakładce *Przetargi sprzedaży ziemi i nieruchomości*. Nie zastanawiałam się długo, bo w głowie ukułam już plan zmiany miejsca zamieszkania. Wsiadłam w samochód, przyjechałam w okolice Zielonej Góry i przepadałam. Wystarczyło, że postawiłam stopę w tym urokliwym zielonym miejscu porośłym starymi drzewami, z wiekową lipową aleją i ukrytym w cieniu, piętrowym poniemieckim domem oraz porośłymi mchem i dziką winoroślą zabudowaniami gospodarczymi, i wiedziałam, że chcę tu być. Chcę to miejsce ożywić. Dla siebie. Czułam, że to niecodzienne miejsce jest jak koło ratunkowe, które nie pozwoli mi utonąć w morzu bezsensowności kolejnych dni.

– Aż dziw bierze, że przez tyle dziesiątek lat ten dworek stał zdewastowany, niszczał i nikt nie próbował go wskrzesić – mówił z przejęciem agent nieruchomości, przysłany na spotkanie ze mną z ramienia urzędu miasta. Fakt, że zdecydowałam się nabyć to zapomniane przez ludzi miejsce, wyraźnie był dla niego wyjątkowo przejmującym doświadczeniem.

– Pan wie najlepiej, że nikt nie chce wydawać ogromnych pieniędzy na przestarzałe nieruchomości z poprzednich epok. Z tym się wiąże mnóstwo kłopotu – rzekłam trzeźwo, świadoma, jak wygląda rynek nieruchomości w Polsce. – Nawet hektary nie przekonują. No, chyba że jakiś deweloper zdobyłby pozwolenie, żeby wybudować na takiej ziemi nowe osiedle. To zupełnie zmieniałoby postać rzeczy.

Agent zachnął się z ironią.

– To prawda, pani Alicjo. Światem rządzi pieniądź, nie historia. Na szczęście ta ziemia jest pod specjalną ochroną, która zabrania tego typu inwestycji. Ale ma pani rację, ludzie wolą uniknąć kłopotu, a to miejsce to unikatowy historyczny teren dawnej niemieckiej winnicy i musi taki pozostać. Oczywiście nie ma nakazu założenia tu kolejnej winnicy, ale umowa zobowiązuje panią do podtrzymywania klimatu tego miejsca, z naciskiem na pozostawienie terenu zielonego bez dodatkowej zabudowy.

Doskonale to wiedziałam. Miałam szacunek do takich osobliwych miejsc i byłam świadoma – tak przynajmniej mi się zdawało – na co się porywam. Aby zakupić tę winnicę, której czasy świetności mogłam sobie tylko wyobrazić, wydałam oszczędności swojego życia. Dodatkowo okopałam się dokumentami, które jasno i wyraźnie stanowiły, co mogę i powinnam, a czego nie wolno mi zrobić z tym miejscem. I w zasadzie mogłam niewiele.

Cały czas powtarzałam sobie, że bynajmniej nie oszalałam, kupując tę ziemię, która przez dekady pererełu i transformacji leżała odłogiem, dewastowana przez człowieka i siły natury. Moja nagła miłość do tego miejsca była powodowana odruchem serca, potrzebą chwili, podszeptem intuicji, która mówiła mi wprost, że muszę mieć ten stary ponemiecki dom i tę zarośniętą chwastami winnicę. Bo może tutaj uda mi się odnaleźć spokój.

Może... Bo jeśli tu, w tym odludnym miejscu na uboczu prozaicznego życia, nie naprawię swojej głowy, nie pozbędę się towarzyszącego mi na co dzień permanentnego smutku i poczucia straty, to wiedziałam, że już nigdy nie otrząsnę się z tragedii.

– Na bezańskim ugorze zamierzasz budować nową przyszłość? – zadrwiła ze mnie Magda, moja trzeźwo patrząca na świat siostra. Kiedy oznajmiłam jej, że planuję wyprowadzić się z Wrocławia, złapała się za głowę. Martwiła się o mnie. Chciała, żebym w końcu wyszła na prostą, ale zakup starej poniemieckiej winnicy najwyraźniej nie znajdował się na jej liście rzeczy, jakie powinnam zrobić, żeby odzyskać równowagę psychiczną.

– Nie mogę zostać we Wrocławiu. Tutaj nigdy nie zapomnę – tłumaczyłam jej swoją decyzję.

– Ale Zielona Góra? Siostra, a co ty tam będziesz robiła! W dodatku sama jak palec! Nie masz tam ani rodziny, ani znajomych.

– Z Wrocławia do Zielonej jest niecałe dwie godziny drogi, więc gdy za wami zatęsknię, wsiądę w samochód i przyjadę.

Magda prychnęła.

– A Radek? – spytała z lekkim wahaniem, jakby wciąż w moich planach odgrywał istotną rolę. A przecież Radka już nie było i to właśnie od wspomnień o nim próbowałam uciec.

W odpowiedzi tylko wzruszyłam ramionami i odwróciłam głowę, ale w środku cała się spięłam. Nie chciałam, żeby Magda dostrzegła na mojej twarzy cień bólu, który mnie nie opuszczał, choć od wypadku, w którym zginął mój mąż, minęły niemal dwa lata.

– Będę go odwiedzać. Przy każdej okazji, ale... Nie mogę zakopać się na cmentarzu razem z nim.

Łapałam się myśli, że radykalna zmiana miejsca, a nawet przemodelowanie całego życia, pomogą mi wrócić do normalnego funkcjonowania. Bo wciąż miałam z tym ogromny problem. Od śmierci męża nie potrafiłam odnaleźć samej siebie. Rozpacz, którą odczuwałam w pierwszej fazie żałoby, zamieniła się w głęboką tęsknotę, okraszoną pustką i wyrzutami sumienia, że nie doczekaliśmy się z Radkiem dziecka. Ja, architektka wewnątrz z dobrze prosperującą firmą, i on, lekarz chirurg, byliśmy wiecznie zajęci pracą, wyjazdami służbowymi, a przez to odkładaliśmy myśl o rodzicielstwie na później, na inny czas, na inną okoliczność. Jak się okazało, ten inny czas miał już nigdy nie nadejść. W chwili wypadku Radka kończyłam trzydzieści trzy lata i zostałam sama ze wspomnieniami przeszłości, bez wizji na przyszłość. Nagle moje życie się zatrzymało, by za chwilę zacząć staczać się w przepaść. Z dnia na dzień przestałam pracować, do tego doszła bezsenność. Godzinami leżałam w łóżku, wpatrywałam się w ciemność i próbowałam szukać obok siebie mężczyzny, którego nie było. Innego

dnia przepłakiwałam całe godziny, tracąc kontrolę nad emocjami. Nie potrafiłam rozmawiać z ludźmi. Ich współczucie doprowadzało mnie do obłądu. Ten stan trwał kilka tygodni, dopóki Magda siłą i krzykiem nie wyrwała mnie z marazmu i nie zmusiła do powrotu do pracy, przyjmując za mnie pierwsze zlecenia, które musiałam wykonać. Na początku skupienie się na projekcie okazało się dla mnie udręką. Nie potrafiłam się skoncentrować ani pobudzić w sobie dawnej kreatywności, ale zmuszałam się, zagryzając zęby. Klienci wymagali, naciskali, a ja dzień za dniem próbowałam odzyskiwać to, co dawniej stanowiło trzon mojego życia. Musiałam nauczyć się funkcjonować bez Radka.

Dlatego gdy tylko jako tako stanęłam na nogi, żeby nie pograżyć się na powrót w rozpacz, bez wahania sprzedałam piękny dom we Wrocławiu, który był naszą największą małżeńską dumą. Wiedziałam, że nie mogę tam zostać, bo wszędzie widziałam cząstkę jego. Każdy kąt przesiąknięty był obecnością Radka. Jego rzeczy, tak nagle porzucone, kłuły mnie w oczy, bolały, doprowadzały do skrajnej rozpacz. Smutek zabijał mnie dzień po dniu, a tęsknota wsączała się we mnie jak trucizna. Musiałam uciec.

Po zakupie zabytkowej posiadłości pod Zieloną Górą wynajęłam ludzi, którzy pomogli mi uprzętnąć zarośnięty wysokimi chwastami teren dawnej winnicy i oczyścić zdewastowane zabudowania gospodarcze. Robiąc

porządku, odkrywałam ledwo już widoczne na ścianach niemieckie napisy „Weingut Vogel”, co oznaczało winnicę Vogel. Niestety, prócz tego budynki okazały się zupełnie puste; nie odnalazłam żadnych śladów dawnej świetności ani tego, że niegdyś rzeczywiście powstawało tu wino.

Dodatkowo zatrudniłam solidną, choć nieziemsko drogą ekipę remontową, która w pierwszej kolejności zajęła się tym, co niezbędne, czyli naprawą dziurawego dachu w dworku, podłączeniem mediów, kanalizacji i odświeżeniem wnętrza wiekowego budynku. Pilnowałam przy tym, żeby nikt nie ważył się naruszyć oryginalnych cegieł ani kafli podłogowych w korytarzu i zachowanych w niemal nienaruszonym stanie kolorowych witraży wymalowanych w niektórych oknach. Zachwycalam się nimi jak wariatka. Były piękne, subtelne, magiczne. Z najwyższą ostrożnością samodzielnie czyściłam kolorowe szybki, żeby nie uszkodzić żadnej z nich. Nie wyobrażałam sobie, że miałabym zniszczyć lub usunąć to unikatowe piękno na rzecz współczesnych trendów. Choć niektórzy ze znajomych, którzy z ciekawości odwiedzali mnie w mojej nowej enklawie, patrzyli na dom z wyraźnym sceptycyzmem, a nawet rozczarowaniem. Bez ogródek mówili, że jest stary, brzydki i brakuje w nim przestrzeni nowoczesnych mieszkań.

– A nie lepiej to wszystko zburzyć i postawić na nowo? Przecież to istna ruina! – słyszałam. Przeszkadzały im

Tego roku winobranie było inne. W powietrzu czuć atmosferę wojny. Niby wszystkich rozpiera duma, że nasz naród jest wielki, że Führer jest wielki, ale ja się boję. Nie chcę wojny. Wolę mój mały świat, tu, w mojej winnicy, gdzie nie dociera zło. Bo nie mam wątpliwości, że (...) wojna jest złem najgorszym.



Rok 1934

Gerhard Vogel, właściciel winnicy w Grünbergu na Śląsku, zapada na ciężką chorobę. Opiekę nad nim i rodzinnym interesem przejmuje jego córka Gretel. Wbrew żądaniom rodziny dziewczyna postanawia zachować winnicę i na wzór ojca uprawiać winorośl.

Gdy Gretel walczy o swoją niezależność, na jej drodze stają bracia Hans i Erich Gehlerowie, obaj powiązani z nazistami oraz Hitlerem. Kiedy, w 1939 roku, wydaje się, że niepozernej dziewczynie ciężką pracą i determinacją uda się wreszcie odnieść sukces, wybuchu wojna, która zmienia wszystko.

Rok 2024

Po tragicznej śmierci męża Alicja kupuje zabytkowy dworek z winnicą pod Zieloną Górą. Odkrywa w nim starą skrzynkę, a w niej drobne przedmioty winiarskie i akt własności winnicy z lat trzydziestych. Zaintrygowana postanawia poznać historię miejsca, które kupiła, i spotyka się z Thomasem Ritterem, prawnikiem dawnej właścicielki Winnicy Vogel.

Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

FILIA

cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8357-754-8



9 788383 577548